

Niechybna kolej rzeczy z jubileuszem w tle

Ambroży Dzierżykraj, trzydziestodwupółletni antykwariusz z Suraża, nieraz rozważał zmianę nazwiska na Dzierżypech, bo nic mu w życiu prócz włosów nie wychodziło. Przykład choćby z przedwczoraj: pierwszy raz w historii przyleciała do Polski białorzytka saharijska i już zdążyła upstrzyć, przepraszam za słowo, guanem wyłóg jego kołnierza. Żebyż to chociaż na szczęście. Nic z tego. Przypomnijmy, co zdarzyło się w przeddzień 3-majowego (trzeciomajowego) święta. Otóż nasz antybohater, notabene (nb.) pół Polak, pół Białorusin, współsiedząc w półmroku, ze znużeniem przerzynał mininożykiem szczipione karty zszarzałej od kurzu przedwojennej broszury, gdy znienacka spod zszywki wysunął się strzępek zgiętej wpół, żółkłej bibułki z odręczną quasi-inskrypcją o treści: „Wśród komór żupy schowane są łupy, nikt ich nie odbierze, bo Skarbnik ich strzeże.” – Ożeż ty! – wrzasnął Ambroży – Czyżby mój pech się strwożył? – Machnąwszy ręką na InterCity, wskoczył do swego wysłużonego land rovera i nie zważając na rżenie rżęcha, ruszył w tempie ochwaconego, powłóczącego nogami, znużonego harówką wałacha. Toż to być musiał bezsprzecznie dyshonor dla zagorzałego kibica speedwaya. Jednakowoż marząc o owych łupach, nie zżymał się na to, lecz roił sobie wizje ożywczych masaży i niespożytych korzyści ze spa (SPA) w Baden-Baden bądź w Banja Luce. W pobliżu Ulhówka, nie będąc nawet w pół drogi, wypił w przydrożnym barze McDonald’sa latte macchiato. Nazajutrz zatrzymał wóz vis-à-vis obchodzącej właśnie jubileusz biblioteki w Wieliczce, by w jej księgozborze znaleźć mapę kopalni. Później wyposażony w strug i inne narzędzia zjechał w głąb żupy solnej. Gdy już począł w pokładów z halitu wkuwać się spąg, naówczas na horyzoncie z ciemności wynurzył się „On”. Wymachując kilofem, którego ostrze skrzyło się w świetle rozjarzonej, trzymanej jednorącz latarni, Skarbnik huknął ku przestrodze: - Chcesz marzyć, to marz, chcesz sól warzyć, warz, lecz ani się waż, mą tu hańbić straż! – Ambroży przejęty strachem i umorusany niczym Siuda Baba w tempie szybkobieżnego pociągu wydobył się na zewnątrz. Przerażona jego widokiem hoża wieliczanka, wystrojona jak na barbórkę, z broszką w stylu sutasz wpiętą w połę zakietu w kolorze lilaróż, wycharczała, złorzecząc skrzekliwie: - Apage, Satana(s)! Ambroży poczuł się tak, jakby go kto zdzielił obuchem w głowę. Nie spojrzawszy za siebie, zaczął biec, gdzie pieprz rośnie. A jakiś chochlik, chytrze chichocząc, uporczywie podsuwał mu myśl: „Choćbyś nawet szezeł i zdechł, nie opuści cię twój pech.”